

A. CONAN DOYLE.

Wojownicza Sal.

Przekład z angielskiego.

Działo się to w dniach, kiedy połęga Francji była na morzu już złamaną i więcej z jej trzech-pokładowców leżało gnijąc na dnie kanału kalfińskiego, niż stało na kotwicy w Breście. Korweły tej fregaty krążyły jednak jeszcze po morzach, ścigane zażarcie przez korweły rywalki. Na krańcach ziemi rozbiły się i druzgotały wzajemnie wspaniałe statki, nazwane słodkimi imionami dziesięciu lub kwiatów, na część tych czterech łokci płótna, które spływało ze szczytu ich masztów.

W nocy dał się wiatr, który ustąpił z braskiem dnia, a wschodzące słońce oświecało teraz strzępy morskich wodorostów, niknące na zachodzie i ukazujące się od czasu do czasu na grzbiecie nieskończonego długich, zielonawych fal. Na północy, południu i zachodzie rysowała się linja nieba, przerywana jedynie bryzgami piany, przy wściekłych zderzeniach się ścian wód niezmierzonego Atlantyku. Na wschodzie widać było skalistą wysepkę, wznoszącą nad wodę poszarpane szczyty, z kilkoma rozrzuconymi na niej kępami drzew palmowych i smugą dymu, wydobywającego się z nagiego stożkowatego wzgórza a pokrywającego ją jakby czapką. Fale gwałtownie flukły się o brzeg, w pobliżu którego czarna, lśniąca trzydziestodwudziałowa fregata brytyjska „Leda”, zostająca pod komendą kapitana A. P. Johnsona wznosiła się na grzbiecie wód lub opadała w szmaragdową toń, posuwając się nieznacznie, z wpółrozwinętymi żaglami ku północy.

Na śnieżnobiałym pomoście komendanta stał sztywny, mały, ogorzwały mężczyzna i badał horyzont przez lunetę.

— Mr. Wharton! — krzyknął głosem przypominającym skrzypienie zardzewiałego zawiasu.

Cienki, kościsty oficer powlókł się ku niemu od tyłu okrętu.

— Jestem, sir.

— Odpieczętowałem rozkazy Mr. Wharton.

Na szczupłej twarzy pierwszego porucznika zaznaczył się na chwilę cień zaciekawienia. Dwa tygodnie temu opuścił „Leda” i „Dydona” Antiguę, z rozkazami admirała zamkniętymi w zapieczętowanej kopercie.

— Mieliliśmy ją otworzyć, dotarłszy do opuszczonej wysepki Sombriero, pod szerokością północną 18,35, długością zachodnią 63,28. Z zerwaniem się wichru ukazała się właśnie Sombriero po stronie lewej, na północnym zachodzie, Mr. Wharton.

Porucznik skłonił się sztywno. Był serdecznymi przyjacielami od dzieciństwa. Razem uczęszczali do szkół, razem wstąpili do marynarki, bili się razem i pożenili w rodzinie, lecz żelazna dyscyplina na pokładzie nie dopuszczała do serc ich żadnych uczuć i czyniła z nich tylko zwierchnika i podwładnego. Kapitan Johnson dobył z kieszeni niebieski papier i rozłożył go z szaleństwem.

„Trzydziestodwudziałowe fregaty „Leda” i „Dydona” (kapitanowie A. P. Johnson i James Munro) krążyć mają na przestrzeni od miejsca, gdzie przeczytano rozkazy, do wejścia na morze Karaibskie, w nadziei spotkania francuskiej fregaty „La Gloire” (48), która świeżo dała się w tych stronach we znaki naszej handlowej flocie. Fregaty jego Kr. Mości mają również poleczone zatopić okręty korsarskie, zwany niekiedy „Wojowniczą Sal”, to znów „Brodaty Hudson”, który plądrował brytyjskie statki dla rabunku, dopuszczając się okrucieństw na ich załogach. Jest to mały bryg uzbrojony w lekkie działa, z jedną dwudziestą czterechfuntową haubicą na przodzie okrętu. Widziano go raz ostatni, 23 go ub. m. na północny wschód od wyspy Sombriero.”

Podpisano: James Montgomery (kontr-admirał).

„Kolos”, statek jego Kr. Mości, Antigua

— Zdaje się, że zgubiliśmy towarzysza — rzekł kapitan Johnson, powtórnie badając horyzont przez lunetę. — Zniknął nam z oczu przed zarzuceniem kotwicy.

— Mielibyśmy się z pyszną, spotkawszy bez „Dydony”, tego potężnego Francuza, Mr. Wharton? He?

Porucznik błysnął oczyma i uśmiechnął się. — Ma osiemnastofuntówki na głównym pokładzie, a dwunastofuntówki na tyle. Czteryśtu ludzi załogi na naszych dwustu trzydziestu. De Milon jest naidzielniejszym kapitanem w służbie francuskiej. Bobby, mój chłopczel! Straciłbym w rękę w mą flagę, otarłszy się bokiem o bok jego statku. — Obrócił się na pięcie, zawstydzony chwilową niezręcznością.]

— Mr. Wharton! — rzekł, patrząc przed siebie surowo. — Każ rozwinąć czworokątne żagle i skierować statek nieco ku zachodowi!

— Bryg po stronie lewej! — doleciał głos od wieży na przodzie.

— Bryg po stronie lewej! — powtórzył porucznik.

Kapitan wskoczył na bollwerki i chwycił się liny średniego masztu — dziwna, szczupła fi gurka, z opaloną od słońca skórą i zakłopotanymi oczyma. Chudy lejtnant wyciągał szyję i szeptał coś do Smeatona, drugiego porucznika, podczas gdy załoga z oficerami wybiegła na pokład i stawała przy burcie, zasłaniając rękoma oczy przed promieniami podzwrotnikowego słońca, które wychyliło się już z pomiędzy drzew palmowych. Obcy bryg leżał na kotwicy w gardzieli odnogi morskiej, wrzynającej się łukiem w ład wyseki i było jasnym, że nie może się wydostać na pełne morze, jak tylko pod ogniem zmasakrowanej fregaty. Długi skalisty przylądek zamykał mu drogę na północ.

— Zatrzymać go, gdy ruszy, Mr. Wharton! — rzekł kapitan — Niech się wszyscy natychmiast szykują do walki, Mr. Smeaton; ludzie niech stoją przy działach, gotowi do strzału w razie, gdyby usiłował nam umknąć! Rozstawić puszkarzy, a w wieży przedniej umieścić strzelców!

Załoga brytyjska szła w tych dniach pamiętnych na stanowiska z niewzruszonym spokojem ludzi, spełniających codzienną pracę. Po kilku minutach ciszy i skupienia, puszkarze zebrali się przy działach, żołnierze ustawili się w szeregi, oparli na muszkietach, a statek zwrócił się nieznacznie ku swej drobnej ofierze.

— Czy to „Wojownicza Sal”, sir?

— Nie wątpię, Whartonie.

— Zdaje się, że nasz widok niezbyt im przypadł do smaku. Odciepli kotwicę i rozwinęli jeden żagiel.

Było widocznym, że bryg postanowił wywalczyc sobie wyjście. Jeden za drugim rozwinęły się małe płócienné żagle a załogę okrętu widać było krzającą się niezmordowanie na rejach. Statek nie zdradzał zamiaru poddania się przeciwnikowi, lecz gotował się do wyjazdu z zatoki. Kapitan zatarł ręce.

— Gotuje się do wyjścia na otwarte morze, Mr. Wharton. Musimy go wziąć w obroty. To mizerny, mały bryg, chociaż wydaje mi się, że ma zgrabną budowę.

— „Buntownik”.

— Ah! Czy być może?

— Tak, sir. Słyszałem coś o tem w Manilli. Zła sprawa. Kapitana i dwóch oficerów zamordowano. Hudson, a raczej „brodaty Hudson”, jak go nazywają, kierował buntem. Pochodzi z Londynu i jest najgorszym łotrem, jaki kiedykolwiek włóczył się po świecie...

— Jego najbliższym spacerem będzie droga na plac stracenia, Mr. Wharton. Bryg ma, zdaje się, dobrą obsadę. Zabrałbym z niego ze dwudziestu majtków, ale rozpuściłby mi załogę zupełnie.

Obaj oficerowie badali bryg przez lunetę. Nagle porucznik wyszczerzył zęby w szyderskim uśmiechu a kapitan poczerwieniał jeszcze bardziej.

— Wszak to „brodaty Hudson” tam na burcie, sir.

— Podły, bezwstydnny łotr. Stroi sobie z nas żart. Czy możesz osiągnąć go z osiemnastofuntówki, Smeatonie?

— Zrobi się...

Mówili jeszcze, gdy bryg zakolysał się i obrócił. Smuga dymu wybiegła z jego boku. Był to jednak tylko czyn brawury, gdyż działo donosiło do połowy odległości. Mały statek zwrócił się teraz szybkim manewrem pod wiatr i zakreślił jak strzala śmiałą krzywizną w wijącym się, jak wąz, kanale.

— Wjeżdżamy na płytkie wody, sir — rzekł drugi porucznik.

— Głębokość sześć sążni według karty.

— Sonda wskazuje cztery, sir.

— Zbadamy to później. Ha! Tak myślałem.

Na niego, Whartonie! Teraz jest w naszych rękach!

Fregata pozostawiła za sobą morze, stojąc na wprost ślepego końca odnogi, przypominającej kształtem ujście rzeki. Po obejściu przylądka otwarł się przed nią, widok na brzegi zatoki, zbiegające się w punkcie zaledwie o milę odległym. W jej klinie, tuż przy brzegu, leżał bryg szerokością swą zwrócony ku prześladowcy. Z masztu jego powiewała czarna flaga. Chudy porucznik, który z krótką szablą przy boku i dwoma pistoletami za pasem zjawił się znów na pokładzie przyglądał się jej ciekawie.

— Czy to Jolly Rodger, sir? — zapytał.

Kapitan był wściekły.

— Może wywieszać co mu się żywnie podobą, dopóki się z nim nie rozprawię. — rzekł. — Jakże łodzie dać ci, Whartonie?

— Zabiorę szalupę i jollę.

— Weź cztery łodzie i oporządź ich uczciwie! Dobierz sobie obsadę! Ja będę cię stąd wspomagał długimi osiemnastkami. Wśród chrzęstu lin i trzeszczenia belek cztery łodzie spuszczone na wodę. Załogi wcisnęły się do nich — majtkowie boso, prości żołnierze, śmiejący się podoficerowie; w każdej starszy oficer, z surową miną nauczyciela. Kapitan z łokciami opartymi na domku z busolą, obserwował jeszcze odległy bryg. Jego załoga przebiegała z błyskawiczną szybkością po linach, krzątała koło dział w tyle okrętu, gotując się do rozpaczliwego oporu. Wśród tłumy prostował się, to schylał, ciągnąc liny i pracując niezmordowanie rosły mężczyzna, zarośnięty aż po oczy, w czerwonym czepek na głowie. Kapitan przyglądał mu się z kwaśnym uśmiechem, wreszcie odejmując lunetę od oczu obrócił się na pięcie.

I stanął przez chwilę jak wryty.

— Odwołaj łodzie! — krzyknął swym cienkim, skrzypiącym głosem. — Wszystko przygotować do bitwy! Odsłonić działa na głównym pokładzie! Napiąć reje, Mr. Smeaton i dopilnować, by okręt się nie kołysał!

Tymczasem wielki statek okrążał przylądek. Jego potężny, żółty przód i tułów opatrzone białymi skrzydłami wysuwał się z pomiędzy drzew palmowych. Nad nim wznosiły się trzy maszty, z trójkolorową flagą spływającą dumnie ze środkowego. Okrążał, prując przodem ciemnoniebieską toń, aż uwidocznił się jego długi, zakrzywiony, czarny tułów, linia lśniącego miedzianego okucia u dołu i gęsto porożstawiana załoga, wyglądająca z pola bollwerków. Jego reje były napięte, strzelnice z lewej strony otwarte a wszystkie działa gotowe do strzału. Z poza jednego z przylądków wyspy, załoga „Gloire”, widziała u brzegów dno sieci, w którą schwytała się brytyjska fregata. Kapitan de Milon miał w rękach swych „Ledę”, jak kapitan Johnson „Wojowniczą Sal”. Lecz w podobnych wypadkach karność angielskiego żołnierza stała zawsze na wysokości zadania.

Łodzie cofnęły się z błyskawiczną szybkością; załoga ich, dostawszy się na pokład, wspięła się na okrętowe krany i umocowała liny. Hamaki zniesiono i zapakowano, ładunek wysłano na spód, strzelnice i magazyny otwarto, ognie zgaszono a na odcinkach uderzono w bębny.

Grupki ludzi zwijała żagle na przodzie, powodując obrót fregaty, podczas gdy obsługa dział rozbiierała się z kafiaków i koszul, ściągała pasy i wyprowadzała osiemnastofuntówki, nastawiając je przez otwarte strzelnice na wspaniałego Francuza.

Dał lekki wietrzyk. Na przeźroczyściej, błękitnej toni ledwie rysowały się fale, lecz żagle wzdymały się pod wiatrem, który uderzał w nie, przechodząc nad drewnianymi burtami. Francuz gotował się również do walki i oba okręty sunęły teraz ku morzu z rozwinętymi przednimi i tylnymi żaglami, „Gloire” z jakie tysiąc jardów bardziej ku przodowi. Ta ostatnia usiłowała ustawić się na ukos do brygu „Ledy”, lecz statek brytyjski obrócił się również. Pruly wodę łagodnie i w takiej ciszy, że dzwonienie sprzęczek, które nosili marynarze francuscy i ich przełożeni, dochodziło do uszu wyraźnie.

— Nie wiele miejsca do manewrowania — zauważył kapitan.

— Bilem się w gorszych warunkach, sir.

— Musimy zachować odległość i zdać się na nasze działa. Jest potężnie uzbrojony i jeśli ustawi się bokiem, możemy znaleźć się w przykłej sytuacji.

— Widzę na jego pokładzie żołnierskie czaka.